

Moje wizyty w Lolelaj stawały się z miesiąca na miesiąc coraz częstsze. Najpierw piątek, co drugi piątek. Potem każdy piątek. Każdy piątek, co druga sobota. Każdy piątek, każda sobota. I jeszcze niedziela, przynajmniej raz w miesiącu. Albo dwa razy, a może i trzy. Wreszcie środa, bo w środę Cmok częstował ciastem, które sam upiekł. A skoro środa i piątek, to dlaczego nie połączyć ich czwartkiem? W poniedziałki, gdy Lolelaj była zamknięta, nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Tępo wgapiałem się w telewizor, przerzucając kanały, po czym koło dwudziestej drugiej łykałem jakąś tabletkę, żeby szybko zasnąć i obudzić się już we wtorek. We wtorek należało zaś przepękać te kilka godzin do wieczora i, tak koło dziewiętnastej, można się było zacząć szykować do wyjścia. Co słyszeć w Lolelaj po weekendzie? Jaki będzie nowy tydzień? Gdzieś tam przez moje życie przetaczały się bez końca problemy z pracą, z pieniędzmi, odchodzili kolejni kochankowie, chwytaly mnie przeziębienia i bóle zębów, rodzice nadawali coś przez telefon, kapało z nieszczelnego kranu, rosły stopy plastikowych butelek po wodzie mineralnej lekko gazowanej, nie grzały kaloryfery, psuły się spłuczki, przepalały żarówki... Gdzieś tam, bo przecież nie w Lolelaj. Tu nic nie bolało i nic nie kapało, choć czasami zatykał się pisuar. Owszem, przetaczali się goście, przetaczali się przelotni kochankowie, ale nie pozostawiali ran ani na twej duszy, ani na twym ciele.

Zacząłem też coraz później wychodzić z lokalu. Najpierw starałem się wszystko tak zaplanować, by złapać jeszcze ostatni tramwaj albo dzienny autobus. Północ stanowiła tę granicę, której nie przekraczałem. Ostatecznie, jeśli trafi się jakiś książe, to i tak za mną pobiegnie.

Owszem, w weekendy pozwalałem sobie na więcej. Zostałem do pierwszej, niekiedy do pierwszej trzydzieści. Potem zacząłem sam siebie przekonywać, że w takiej na przykład

Hiszpanii północ to śmieszna pora, wtedy przecież ludzie dopiero wychodzą do barów na drinka, w piątki zaś czy soboty zabawa trwa do białego rana. Przestałem się więc spieszyć na ostatni tramwaj. Przełamałem niechęć do nocnych autobusów, których dotąd się bałem – w końcu nimi także jeżdżą ludzie, choć nieco bardziej pijani, a w środku śmierdzi zazwyczaj kebabem kupionym u Turka czynnego dwadzieścia cztery godziny na dobę. Czasami miewałem gest i wracałem do siebie taksówką. Do siebie? To znaczy do mieszkania, które wynajmowałem. To w Lolelaj byłem u siebie.

Wreszcie zacząłem wychodzić jako gość ostatni lub jeden z ostatnich. Z drżącym sercem nasłuchiwałem dzwoneczka, którym Zbyszek potrząsał, by następnie ogłosić: „Za pół godziny zamykamy!”. Jeszcze nie zadzwonił, jeszcze uda się popchnąć tę noc o dziesięć, piętnaście, dwadzieścia minut. O kolejnego drinka. Zapić ją jeszcze trochę, urwać jej znowu na chwilę łeb, nim wyrośnie kolejny. A potem, gdy nadchodziło to, co nieuchronne, i dzwonek jednak wydawał z siebie ów złowieszczy dźwięk, szedłem wolno do baru, aby złożyć ostatnie zamówienie. I jeszcze wolniej sącyłem pożegnalnego drinka, za każdym razem z tą samą nadzieją, że ten drink nigdy się nie skończy. Zbyszek krzątał się już z wiaderkiem i mopem, już zamykał kratę zabezpieczającą dolny bar przed złodziejami, już coraz niecierpliwiej dawał do zrozumienia, że czas do domu. Do domu? Do jakiego domu? Komu bije dzwoneczek?

Uwielbiałem te momenty, gdy wiosną lub latem wychodziłiśmy z Lolelaj koło czwartej, piątej rano. Odgrodzeni dotąd od nocy drzwiami i matową szybą nieprzepuszczającą ni grama opresji czającej się po drugiej stronie, krążący między opiekuńczym półmrokiem darkroomu a bezwstydną jaskrawością

barowych światła, oblepieni dymem papierosowym i napęczniali od procentów, wkraczaliśmy w błady jak nasze niewyspane twarze świt. Tylko w tej jednej chwili, w tym pożegnalnym momencie, na progu Lolelaj i nowego dnia czułem to, co zwać *harmonia mundi*. Ptaki śpiewały, milkły pijackie wrzaski. Ale harmonia oddalała się z każdym krokiem, który wiódł mnie do domu. Do domu? Do jakiego domu?

Lolelaj przyciągała również osoby znane z mediów: pyszałkowatych aktorów, rozpustnych krytyków, sfrustrowanych dziennikarzy, wylansowanych tancerzy czy gwiazdki reality shows.

– A ten tam, drugi od lewej w rogu, to dotarł do półfinału *Gotuj z nami, celebrytami* – szepnął mi do ucha dopiero co poznany młodzian.

Ja zaś nie wiedziałem, o co i o kogo chodzi, bo przecież całe noce spędzałem tutaj, w miejscu, gdzie telewizor emitował bez przerwy wyłącznie filmy bezkostiumowe, w których, stety czy niestety, żaden z gości lokalu nie występował.

– Nie, o Boże! – młodzian złapał się za głowę. – On był w *Masterchefie*!

– Co to jest *Masterchef*? Jakiś program dla masochistów? – zapytałem naiwnie.

I to był koniec naszego romansu. Młodzian popatrzył na mnie z pogardą i odszedł na drugi koniec baru.

– Jezu! W czym on grał, ten tamten, o tam? – pocił się z nerwów siedzący po mej lewej stronie malutki blondynek, wskazując na przyszczatego dryblasa.

– No chyba w tym... o lekarzach – nerwowo szukał w pamięci jego towarzysz, napakowany łysol.

– A nie w tym o policjantach z Wałbrzycha?

– Matko Boska, tak! Tak! To przecież on!

I rzeczywiście. Podczas gdy pudelki i kozaczki donosiły, że taki czy inny znany aktor pokazał się na bankiecie z nową narzeczoną, całe obsady popularnych telenowel siedziały przy barze w Lolelaj. Spotykało się też wschodzących i zachodzących piosenkarzy, w tym jednego, który wkrótce zmarł na raka, ale przedtem zdążył rozdać w lokalu sporo podpisanych przez siebie egzemplarzy swojej ostatniej płyty, jak również przebrzmiałe głosy opery, zwłaszcza – cóż za stereotyp! – kontratenorów. Ci ostatni nie robili, rzecz jasna, żadnego wrażenia na młodej klienteli, ale niech tylko pojawił się ktoś, kto przemknął przez ekran jako gość telewizji śniadaniowej albo w prime timie, zaraz zaczynało się krążenie, zacieśnianie kręgu, przygważdżanie wzrokiem pełnym erotycznych roszczeń i buńczuczne rzucanie pokrętnych komplementów w rodzaju: „No, całkiem fajnie zaśpiewałeś wtedy, kiedy cię tak zgnoili!”. Stanisław, jako dziennikarz radiowy, a więc nieobecny na ekranach, niestety nie załapywał się na te podchody. Ale potrafił zabajerować, nierzadko z dobrym skutkiem, że zna tego i owego z Woronicza.

– Pusto coś dzisiaj – rzekłem do Zbyszka któregoś sobotniego wieczoru.

– Ciotki oglądają Gesslerową – odparł. – Jak się skończy, to się zlecą

I jak zwykle się nie mylił.